

Pan Cogito spotyka Gombrowicza

Na początku potrzebne są pewne wyjaśnienia...

Po pierwsze, ze względu na temat konferencji nikogo zapewne nie dziwi w tytule mojego referatu obecność Pana Cogito, ale za to słusznie można by zapytać – dlaczego akurat Gombrowicz? Otóż czytając poezję Herberta, zwłaszcza tę spod znaku Pana Cogito, czułam pewną niemoc emocjonalną. Co prawda z pewnymi wyjątkami zupełnie niewzruszona wczytywałam się w kolejne perypetie Pana Cogito, przerażona własną obojętnością. Chcąc znaleźć przyczynę mojego emocjonalnego odrętwienia, postanowiłam zaaranżować spotkanie Pana Cogito z Gombrowiczem, który zawsze wzbudza we mnie silne emocje. Pomyślałam, że konfrontując te dwa literackie światy, dowiem się, gdzie tkwi źródło mojej niemocy wobec Pana Cogito.

Po drugie, Pana Cogito, podmiotu lirycznego i bohatera wierszy Herberta choć uważanego za *porte-parole* poety, nie będę w żaden sposób łączyła z osobą samego Herberta. Na potrzeby niniejszego referatu traktować będę Pana Cogito jako autonomiczny konstrukt poetycki, zapominając poniekąd o jego twórcy. Podobnie z Gombrowiczem – to nie polskim pisarzem, który większość swojego życia spędził w Argentynie, ale postacią literacką, literackim – powiedzmy – wcieleniem autora, skądinąd mistrzowsko konstruowanym, będę się zajmować. Nie chodzi mi zatem o spotkanie dwóch pisarzy: Zbigniewa Herberta rocznik 1924 i Witolda Gombrowicza rocznik 1904, ale o spotkanie dwóch fikcyjnych postaci: Pana Cogito i Gombrowicza oraz dwóch literackich rzeczywistości przez te postaci zamieszkałych albo raczej – przez te rzeczywistości ukształtowanych. Znaczy to także, że wszelkie tezy i wnioski formułowane przeze mnie na temat tak zwanego „Herberta” i tak zwanego „Gombrowicza” swoje źródło mają w poezji, literaturze, w fikcji, a nie w życiu pisarzy. Odrzucając historyczno-biograficzne konteksty, zamierzam potraktować ich twórczość uniwersalnie, a Pana Cogito i Gombrowicza rozpatrywać jako pewnego rodzaju projekty człowieka, jako głos w antropologicznej dyspacie.

Pan Cogito narodził się w roku 1974 wraz z ukazaniem się tomiku pod tym samym tytułem. Swój przydomek Pan Cogito zaczerpnął od ojca filozofii nowożytnej – Rene Descartesa powszechnie znanego jako Kartezjusz. Twórca słynnego cogito ergo sum (myślę więc jestem) zapoczątkował erę racjonalizmu, który w centrum usadowił ludzki umysł. Nie miejsce to na szczegółowy opis myśli Kartezjusza, dość jednak powiedzieć, iż Kartezjusz odrzuca wszelką wiedzę o rzeczywistości, niczym Sokrates stwierdza, że nic nie wie i zaczyna budować świat od siebie, ustanawiając swój rozum jedynym urządzeniem testującym prawdziwość docierających do człowieka wrażeń, a także myśli przezeń produkowanych. Co istotne i warte zapamiętania – Kartezjusz ludzki umysł sytuuje w izolacji i pewnej samotności; ma on bowiem nie tylko

zapomnieć o wiedzy dotąd zgromadzonej, ale poddać również w wątpliwość wszystko, co go otacza.

Ta filozoficzna wycieczka w wiek siedemnasty niezbędna jest, by określić mentalność Pana Cogito. Twierdzę bowiem, iż jego egzystencjalną postawę najlepiej charakteryzuje miano **filozofa** i to w isticie Kartezjańskim wydaniu. Filozof to, mówiąc językiem mało wyszukany, ktoś, kto dużo myśli, kogo głównym zajęciem jest problematyzowanie, zadawanie pytanie, szukanie odpowiedzi. To również ktoś w jakimś sensie odcinający się od strumienia dnia powszedniego. Można by zartobliwie powiedzieć, że filozof, kupując bułki, duma raczej nad ontologiczną kondycją pani sprzedawczyni niż nad rodzajem nabytego pieczywa, a nie wykluczone, że to właśnie pani sprzedawczyni (oczywiście w czysto filozoficznym kontekście rozpatrywana), a nie bułki, jest przyczyną wizyt filozofa w piekarni. Kontynuując, trzeba dojść do wniosku, iż filozof zajmuje się zagadnieniem życia i człowieka o niebo intensywniej od zwykłego zjadacza chleba. Ale stwierdzić musimy także, że dystans wobec przedmiotu badań, postawa obserwatora niezbędna do krytycznego ujęcia przedmiotu sprawiają, iż filozof, intensywnie rozmyślając o życiu, paradoksalnie mniej intensywniej w nim uczestniczy niż zwykły zjadacz chleba. Krótko: filozof jest teoretykiem życia, a nie praktykiem.

Podobne stwierdzenie stało się jednym z głównych zarzutów filozofii egzystencjalnej wobec wcześniejszych systemów myślowych. Rozważania o abstraktach, o życiu jako zagadnieniu, a nie codziennym doświadczeniu stały się negatywnymi punktami, wobec których sformułowano idee egzystencjalizmu. Ten bowiem, jako wiadomo, jest źródłem mentalności Gombrowicza. Umiejscowienie w życiu, poddawanie się jego wpływom, reagowanie na bodźce, uporczywe docieranie do istoty życia poprzez doświadczenia, analiza tych doświadczeń – to postawa jednostki, którą można by nazwać **wrażliwcem**. Przy czym jej wrażliwość nie oznacza skłonności do płaczliwych stanów, ale wyostrzenie świadomości na egzystencjalne położenie człowieka rozpatrywanego ściśle w związku z jego życiowymi doświadczeniami.

Kończąc te jakże pobieżne filozoficzne charakterystyki, można krótko stwierdzić, iż filozof zaczyna od teorii, czyli myślenia, by stwierdzić cokolwiek o praktyce – życiu; wrażliwiec natomiast próbuje opisać praktykę, to jest doświadczenie, a próba opisu owocuje powstaniem wniosków, czyli teorii.

Tyle tytułem wstępu, przejdźmy do tekstów...

W *Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu* czytamy, że gdy „wszystkie próby oddalenia//tak zwanego kielicha goryczy” zawiodły, Pan Cogito postanowił przyjąć taktykę, którą można by nazwać – humanizacją cierpienia. Oto bowiem z cierpieniem trzeba się zaprzyjaźnić, pokumać, a nawet odpowiednio je sobie dawkować. Gdy taktyka będzie konsekwentnie i odpowiednio

realizowana, cierpienie być może pokaże ludzką twarz – „nikły uśmiech”. W pierwszej chwili przytakuję – rzeczywiście, cóż innego można zrobić z nieusuwanym cierpieniem, jak się do niego przyzwyczaić. Jednak po powtórnej lekturze i chwili refleksji nachodzi mnie nieodparte wrażenie, że Pan Cogito bajdurzy. Oczywiście, wyczuwam ironię w głosie Pana Cogito, ale nie zmienia ona podstawowego faktu: wiary Pana Cogito w możliwość zrobienia z cierpieniem czegośkolwiek, wpływania na jakość – powiedzmy – współbycia jednostki z cierpieniem. Wydaje się, że z aksjomatu: trzeba żyć z cierpieniem Pan Cogito wyciąga wniosek: da się żyć z cierpieniem, cierpienie można oswoić, uczynić bardziej znośnym. Na poziomie logiki wszystko wydaje się jak najbardziej właściwe: cierpienie istnieje, nie można sprawić, by przestało istnieć, dlatego trzeba nauczyć się z nim żyć, czyli przyzwyczaić się do niego, przyjmując jako jeden ze składników życia. Ale każdy, kto doświadczył cierpienia musi czytać wspomniany wiersz z przymrużeniem oka. Wiemy przecież doskonale, iż bez względu na to, który to już raz cierpimy (czy to fizycznie, czy to psychicznie), wcale nie łatwiej nam znosić ból. Można rzec: doświadczamy cierpienia zawsze tak samo intensywnie. Wobec tych faktów propozycja Pana Cogito przypomina zapewne mądre i słuszne rady znawcy problemu, ale znawcy, którego najwidoczniej problem tenże albo nie dotyczy, albo dotyczy tylko w stopniu niewielkim.

Znamienny jest już sam tytuł utworu: *Pan Cogito rozmyśla o cierpieniu*, sygnalizujący, iż cierpienie jest dla Pana Cogito przedmiotem rozważań, intelektualnych ćwiczeń. Gdy dołożymy do tego ironię, którą Pan Cogito zwykł się posługiwać, poważny temat, jakim jest cierpienie, traci swoją moc porażania. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że ironia bywa jednym z literackich środków obronnych, że dzięki ironii osiąga się pewien dystans wobec zjawisk dla człowieka trudnych, a nawet traumatycznych. Niemniej, w przypadku omawianego wiersza o ile wyczuwam ironię, o tyle nie wyczuwam grozy czy choćby powagi zjawiska rzekomo przez tę ironię ujarzmianego. Dalej, czytając, że cierpienie należy „przyjąć//ale równocześnie//wyodrębnić w sobie//i jeśli to jest możliwe//stworzyć z materii cierpienia//rzecz albo osobę” jestem już absolutnie przekonana, że Pan Cogito, owszem, obrał sobie za temat rozmyślań cierpienie, ale chyba wyłącznie po to, by oddać się czynności tak przez siebie umiłowanej, to jest myśleniu. Że celem Pana Cogito nie jest chęć zmierzenia się z problemem cierpienia, że jest ono jedynie pretekstem do rozmyślań. Albo inaczej: cierpienie miało posłużyć przede wszystkim za temat wiersza, miało Panu Cogito podsunąć takie wyrażenia jak „kielich goryczy”, zainspirować do stworzenia metafory picia wyciągu z gorzkich ziół czy porównania cierpienia z chorym dzieckiem. I przyznać trzeba, że dobrze to sobie Pan Cogito. Jednak cierpienie – zdawałoby się, zasadnicza kwestia – gdzieś umyka. Nie czuję ani grozy, ani ulgi.

A może Pan Cogito chciał z cierpieniem uczyni to, co sam zalecał – uczłowieczyć, dorysować mu uśmiech? Jeśli tak, to się mu udało – cierpienie w jego wierszu jest lekkie, trochę

abstrakcyjne, a więc zawieszono gdzieś wysoko, mało groźne. Jest więc zagadnieniem cierpienia – intelektualnym wyzwaniem, literackim zadaniem. Pan Cogito stara się ponadto, a przynajmniej chce sprawiać takie wrażenie, doradzić, jak postępować z cierpieniem w życiu. To właśnie tu, myślę, leży odpowiedź na pytania, które nieodparcie nasuwały mi się podczas lektury nie tylko tego tekstu: dlaczego tak trudno mi uwierzyć Panu Cogito?, zrozumieć jego stanowisko?, przyjąć jego perspektywę? Otóż sęk w tym, że podejmuje on rzeczywiste, realne, istniejące w życiu problemy, a więc takie, których sama doświadczyłam, których z pewnością doświadczyli także państwo, ale rozpatruje je w oderwaniu od życia, traktując właśnie jako zagadnienia. Dlatego może obmyślać taktyki, wierzyć w ich powodzenie, gdyż w sferze intelektualnych rozmyślań zweryfikować je mogą wyłącznie prawa rządzące umysłem. Gdy jednak spróbować zastosować propozycje Pana Cogito w życiu, nie wytrzymują próby praktycznej realizacji. Życie nic nie robi sobie z praw stworzonych przez umysł. Pan Cogito udziela więc rad, którym – co prawda – trudno się sprzeciwić, ale rad zupełnie nieprzydatnych. Oczywiście, mógłby ktoś oponować, słusznie zauważając, iż poezja i sztuka nie muszą przecież spełniać roli poradników pokroju „Pani domu” i serwować porad na każdą ludzką bolączkę. A l e... Zaraz po pierwszej strofie, informującej o nieusuwalności cierpienia, Pan Cogito zaczyna następną od słowa „należy” i wymienia kolejne czynności (pisane zresztą w instruktażowej formie czasownika, czyli w bezokoliczniku), które w finale doprowadzić mają cierpienie do ludzkiego uśmiechu. Ewidentnie zatem dzieli się z czytelnikiem swoim odkryciem, udziela porad. Zawiedziona jestem więc nie dlatego, iż oczekiwałam od Pana Cogito czegoś, czego nie był zobowiązany zapewniać, to jest porad, wskazówek – to sam Pan Cogito oferuje swe doradztwo, ostatecznie zawodząc.

Zupełnie inaczej problem cierpienia ukazuje Gombrowicz w jednym z fragmentów *Dziennika*. Przede wszystkim punktem wyjścia swoich rozważań czyni konkret – zdychającego psa. Zaczyna więc od, jak mówi, „kawałka umęczonej materii”. Konfrontacja z cierpieniem zmusza Gombrowicza i pozostałych świadków agonii charta do zajęcia stanowiska wobec kwestii dobicia psa. Rozważania Gombrowicza o bólu są nijako wtórnym efektem. Nie rozmyśla on o cierpieniu po prostu – cierpienie, narzucające się człowiekowi, nie pozostawia wyboru; będąc doświadczeniem głębokim, wzbudzającym strach staje się pretekstem do egzystencjalnych rozważań. Rozważania te jednak są zupełnie innej jakości niż rozmyślania Pana Cogito. Gombrowicz, mimo iż ostatecznie formułuje raczej filozoficzne wnioski, dochodzi do nich zmagając się z konkretnym problemem: zastrzelić konającego psa czy nie zastrzelić? Nie wnikając w szczegóły, wystarczy powiedzieć, iż Gombrowicz jest za zastrzeleniem psa, a jego decyzja wiąże się ściśle z jego pojmowaniem cierpienia. Te bowiem, jego zdaniem, podobne jest absolutowi, rzeczy samej sobie, takiej, która istniała i istnieć będzie zawsze bez względu na okoliczności, która dotyczy każdego stworzenia. Ból

jawi się więc jako nieusuwalny, niezmienny, nieznośny – psa trzeba zabić, by „zatrzymać maszynę bólu”, śmierć to jedyne wyzwolenie. Cierpienie jest ponadto nie-ludzkie w tym sensie, że wykracza poza obszar zjawisk dla człowieka zrozumiałych. Bez względu na powszechność, wszędochyłość bólu człowiek nie potrafi pojąć, dlaczego cierpi. Nie ma miejsca na pogrywanie z cierpieniem, na zabiegi ucłowieczające, łagodzące. Do bólu nie sposób się też przyzwyczaić. Wizja Gombrowicza jest pesymistyczna. Nie ośmiela się ona proponować jakiegokolwiek rozwiązania; zresztą zdaje sobie sprawę, iż takowe nie istnieje, chyba, że uznać za nie śmierć...

Nie ukrywam, iż perspektywa Gombrowicza jest mi bliższa niż Pana Cogito, że własne doświadczenia każą mi raczej stanąć w stajni obok wstrząśniętego zdychającym psem Gombrowicza niż podążać za Panem Cogito w jego intelektualnej dywagacji z uśmiechniętym cierpieniem jako puentą. Nie chodzi mi – powtarzam – o typ poetyki, o ton w jakim wypowiadają się postaci, ale o ich – jakby to powiedział Gombrowicz – stosunek do rzeczywistości. Przy czym nie myślę tyle o przydatności prezentowanych wniosków w życiu codziennym (jak wspomniałam, nie oczekuję od literatury, by spełniała funkcje poradnikowe), ile o tym, w jakim stopieniu rzeczywistość i czytelnik traktowani są na serio.

Oczywiście, można by teraz rozpocząć niekończącą się dyskusję o tym, jaka rzeczywistość jest, czym jest, a może raczej – jak wiele ich istnieje... Sądzę jednak, że najlepszym sprawdzianem na – powiedzmy – prawdziwość ukazanej w literaturze rzeczywistości jest to, jaki wpływ literatura ta wywiera na czytelnika, czy go porusza, czy posługuje się jego językiem, czy – wreszcie – mówi o sprawach dla czytelnika istotnych. Wspomniana kategoria prawdziwości bowiem nie ma nic wspólnego z zasadą *mimesis*, a więc z nakazem wiernego wzorowania się na otaczającym świecie. Miarą prawdziwości jest czytelnik, który albo przeczyta utwór i przeczuci obojętnie kartę, by przeczytać kolejny z równą obojętnością, albo poczuje dziwne uczucie niepokoju, które nachodzi człowieka zawsze wtedy, gdy jest świadkiem zdarzeń, dotyczących podstaw jego człowieczeństwa, egzystencji. Może to być zdarzenie pobudzające do śmiechu, płaczu, strachu, złości... – rodzaj uczuć nie jest ważny, liczy się zaangażowanie czytelnika, reakcja zwrotna. Rzeczywistość to zatem wszystko to, co dotyczy mnie, co mnie porusza, co odpowiada moim doświadczeniom emocjonalnym i psychicznym, co nie pozwala na obojętność, gdyż dotyczy spraw dla mnie istotnych. Zgodność literatury z rzeczywistością jest, moim zdaniem, warunkiem koniecznym do nawiązania kontaktu z czytelnikiem; kontaktu nie przelotnego, nie powierzchownego, lecz szczerzego.

Twierdzę, że o ile można delectować się intelektualną, poetycką zręcznością Pana Cogito, o tyle dość trudno zaangażować się emocjonalnie w jego rozważania, utożsamić z jego światem.

Obcość Herberta, o której wspominała Monika, cytując profesora Śliwińskiego, nie jest wynikiem, jak twierdzi profesor, rygorystyki moralnej, uchodzącego w postmodernistycznym świecie za przeżytek. W moim przypadku Herbert nie jest obcy dlatego, iż mówi o rzeczach dla mnie niewygodnych, iż przypomina o powinnościach, o których prościej zapomnieć niż je na co dzień stosować. Herbert jest mi obcy, gdyż nie mówi o rzeczach dla mnie ważnych albo raczej: mówi o nich, ale w taki sposób, że nie odczuwam ich ciężaru, że mnie nie poruszają, nie angażują, nie są zatem moje...

Pan Cogito egzystuje w bezpiecznej sferze intelektu, skąd próbuje orzekać o życiu, realnych problemach. Czytelnik, znający życie, rzeczywistość z doświadczenia nie może traktować rozmyślań Pana Cogito inaczej niż jako prób poetyckiego przetworzenia tego czy innego zjawiska. Czytać literaturę, a przeżywać literaturę – to jednak znacząca różnica...

Utwór pod tytułem *Przepaść Pana Cogito* rozpoczyna się od słów: „W domu zawsze bezpiecznie”; kończy się podobnie: Pan Cogito powraca do domu, zostawiając tytułową przepaść za progiem. Przepaść, którą zazwyczaj kojarzy się z pustką, przeszkodą, strachem, ciemnością i tak dalej, w przywołanym wierszu prezentuje się raczej dobrodusznie. Zresztą sam Pan Cogito przyznaje, że przepaść jest tak mała, iż mógłby ją zasypać garścią piasku. Jednak nie tylko tego nie czyni, ale i zastanawia się nad sposobami pielęgnowania przepaści, mówi: „Żeby tylko wiedzieć// jaką pije wodę//jakim karmić ją ziarnem”. Dlaczego Pan Cogito chce, by jego przepaść była większa, a przez to – jak można się domyślać – bardziej przerażająca? Wiadomo przecież, że ludzkość powołała do życia nie jedną ideę, aby tylko odsunąć od siebie widmo przepaści, która dla każdego znaczy co innego, zawsze wzbudzając jednak te same emocje. Otóż twierdzę, że przepaść jest Panu Cogito potrzebna – czy to jako przeciwwaga domowej przytulności, czy to jako ekscytujący dodatek, pobudzający do intelektualnych dywagacji... Podmiot liryczny przyznaje, że przepaść jest „na miarę Pana Cogito”. Ten, co istotne, posiada miejsce bezpieczne, do którego przepaść nie ma wstępu. Poniekąd więc to od decyzji Pana Cogito zależy, jak często przepaść będzie mu towarzyszyć. Można powiedzieć zatem, że przepaść jest stwarzana, nie zastana, że – jak wspomniałam – służy jako intelektualno-poetycki środek pobudzający wyobraźnię.

Kiedy Pan Cogito podejmuje wielkie zagadnienia, rozpatrując je z – jak miemam – unieszkodliwiającej perspektywy filozofa, Gombrowicz pochyla się nad, zdawałoby się, błahostkami, które pod wpływem jego wrażliwej uwagi dostarczają czytelnikowi iście egzystencjalnych wrażeń. Muchy na lepie, żuki przewrócone na grzbiet, szaleńczo przebiegające łapkami, dziewczyna – ideał kobiecego piękna, dłubiąca w nosie, krowa, patrząca prosto w oczy... to wycinki życia, konkretne doświadczenia Gombrowicza. Próbując je opisać lub po prostu je

przycaczają, Gombrowicz rozpoczyna dyskusję o sprawach fundamentalnych. Dyskusję nie zawsze wypowiedzianą – czasem toczącą się w umyśle czytelnika. Tak samo jak w przypadku zdychającego psa próbuje docierać do istoty życia, nie spuszczać go z oczu.

Czy konające muchy na lepie powinny zburzyć spokój niedzielnego obiadu, czy nie i jakie są konsekwencje udzielonej odpowiedzi? Czy krowa może na nas spojrzeć, to znaczy zauważyć naszą obecność tak samo, jak drugi człowiek – jeśli tak, to co to oznacza? A skoro nie mogę pomóc wszystkim żukom, to czy uratowanie tylko kilkudziesięciu z tysięcy czyni mnie wybawcą czy może jednak katem? Filozoficzne przemyślenia Gombrowicza wypływają z potrzeby rozwiązania konkretnych, wręcz materialnych problemów. Nie tyle przygląda się on życiu, ile w nim uczestniczy.

W *Pan Cogito a myśl czysta* tytułowa postać stara się bezskutecznie osiągnąć myśl czystą, niezmaconą powszednimi, przyziemnymi sprawami. Sądzę jednak, że jest na odwrót: Pan Cogito chce konfrontacji z życiem, niebezpieczeństwem, przebywając w domowym zaciszu. Można by więc językiem Herberta powiedzieć, że czysty umysł Pan Cogito stara się osiągnąć myśl nieczystą, ubrudzoną czarną ziemią, glebą ludzkiej egzystencji, w której wciąż grzebie Gombrowicz, rozprawiając o życiu i żywo gestykułując dłońmi z widocznym brudem za paznokciami.

Karolina Kałużna